

## Karkonoska pętla

Ponieważ ciągle brakuje mi czasu na prywatne wycieczki, ciągle tylko praca, postanowiłem wykorzystać wolną niedzielę jaka mi się nadarzyła i wyruszyć w góry.

Na dole jest zielono, widać już na drzewach pierwsze pąki, kwitną krokusy, a u góry wciąż jest biało. W zasadzie mamy już wiosnę, kalendarzową, ale chyba też ta prawdziwa zawitała na dobre do naszych ogrodów, przynajmniej tu na dole. Dlatego jest w miarę ciepło, ciekawi mnie jednak jak jest u góry. Tak mnie to nurtuje, że postanowiłem pójść właśnie tam, jak najwyżej. Nie, nie wybrałem jednak Śnieżki. Raz, że niedawno tam byłem, dwa, że zawsze jest tam tłoczno i w sumie miejsce to jest oklepane. Początkowo chciałem przyłączyć się do znajomych, którzy planowali podobny spacer, jednak po namyśle stwierdziłem, że nie jest to najlepszy pomysł. I wcale nie chodzi tutaj o tych konkretnie ludzi, chodzi o to, że uświadomiłem sobie, że oni będąc na wycieczce prą do przodu jak małe lokomotywy. Ja wolę chodzić nieco wolniej tak by delektować się otaczającym mnie pięknem. Dlatego zrezygnowałem z tego pomysłu.



*Foto: Krzysztof Tęcza*

Niestety postanowienie to jedno, wykonanie to drugie. Poprzedniego dnia wybrałem się do schroniska Szwajcarka, gdzie zapowiedziano koncert zespołu SIUD&MY. Było fajnie, miło jest posłuchać od czasu do czasu takich piosenek. Jednak ma to swoje konsekwencje. Zasiedziałem się. Nie zostałem co prawda do białego rana, tak jak większość, ale wróciłem do domu późną nocą. Pomyślałem sobie, a co tam, rano idę w góry. No i oczywiście, jak to w życiu najczęściej bywa gdy obudziłem się okazało się, że złośliwie zmieniono czas (jest 26 marca 2017 roku) i nie zdążę na autobus. Postanowiłem zatem nadrobić „przespany” czas i szybko spakowałem potrzebne rzeczy, by wskoczyć w autko i ruszyć w drogę. Pogałem bezpośrednio do Jagniątkowa. Początkowo podjechałem pod leśniczkę gdzie jest miejsce na kilka samochodów. Niestety gdy tam dojechałem spotkała mnie niespodzianka. Okazało się, że jakimś cudem granice Karkonoskiego Parku Narodowego przybliżyły się do zabudowań i już nie ma gdzie postawić autka. Przedtem granica była bliżej mostku, teraz zakaz wjazdu ustawiono już na granicy lasu. W związku z takim obrotem sprawy zrezygnowałem z podejścia czarnym szlakiem i przejechałem nieco wyżej na pętlę autobusową, gdzie znajduje się spory parking i można spokojnie zostawić swój pojazd.

Teraz nie mam wyjścia i ruszam szlakiem niebieskim wiodącym po Koralewej Ścieżce. Gdy tylko przekraczam „bramę” do lasu słyszę jak przyroda budzi się do życia. Ptaki zaczynają swoje śpiewy. Zupełnie tak jak przy moim domu. Słońce zaczyna powoli przygrzewać, chociaż jest jeszcze mroźno. Na wszelki wypadek zakładam czapkę i pnę się pod górę. Pierwszy krótki odpoczynek robię sobie przy ustawionej w lesie ławeczce i drewnianym stole. Widzę ciekawostkę. Tak jak niżej stoi tutaj metalowy kubek na śmieci. Nie byłoby w tym nic ciekawego gdyby nie fakt zabezpieczenia go metalowym kształtownikiem, nie wiem czy przed przewróceniem, czy przed wandalami. Przypomniałem sobie, że kubek przed wejściem do Parku był przymocowany śrubą, pomyślałem więc, że i ten będzie miał podobnie. Tymczasem okazało się, że tak nie jest. Ten nie miał śruby. Gdy przyjrzałem mu się bliżej wszystko stało się jasne. Wygląda na to, że zrobiono tu zbyt krótkie kształtowniki i po prostu nie ma miejsca na śrubę.



*Czarna Przełęcz. Foto: Krzysztof Tęcza*

Koniec jednak tych oględzin, trzeba iść dalej, tak by dotrzeć na górę o przyzwoitej porze. Gdy minąłem Leśniak i przekroczyłem kolejną drogę promienie słoneczne przedzierające się przez gałęzie drzew dały mi po oczach. W sumie to gdyby nie to byłoby jakoś nieciekawie. A tak widzę tutaj, a nawet czuję, jak budzi się dzień. Chociaż od gór czuć jeszcze może nie mroźne ale bardzo rześkie powietrze. Wreszcie pojawiają się pierwsze płaty śniegu. Jest ich co prawda niewiele ale za to czuć wiejący od nich wyraźny chłód. Czyżby to był początek czekającej w wyższych partiach gór zimy?

Wreszcie docieram do kolejnej drogi, przy której zbudowano sporą wiatę wypoczynkową. Można tutaj odsapnąć chwilę i uzupełnić płyny, bo wbrew pozorom dotychczasowe podejście dało mi trochę w kość. Gdy tak odpoczywam pojawia się pierwszy turysta. Sunie z dołu jak lokomotywa. Wcale nie widać po nim zmęczenia. Słychać tylko stukające o podłoże kije.

Gdy on zostaje odpocząć ja ruszam dalej. Po chwili pojawia się śnieg ale już tak konkretnie. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że pokrywa go warstwa lodu. Dosłownie nie idzie ustać na nogach. Do tego akurat doszedłem do najstromejszego w tej części szlaku miejsca. Właśnie przekraczam wysokość 1000 metrów nad poziomem morza. Zaraz będą Paciorki. Tam odpocznę.

Okazało się jednak, że odpoczynek na Paciorkach nie do końca był dobrym pomysłem. Gdy usiadłem na skałkach i rozejrzałem się wokół piękno jakie tu ujrzałem nie pozwoliło mi iść dalej. Musiałem nasycić oczy tym krajobrazem. Bo widoczna w dole Jelenia Góra położona w kotlinie, zbiornik Sosnówka z mieniącą się w słońcu wodą, a nad tym wszystkim kolejne pasma górskie wyłaniające się z mgły, sprawiają wrażenie magicznej krainy. Do tego w górze płyną chmury mające fantazyjne kształty. To wszystko jest niesamowite. Gdy jeszcze spojrzymy na położony po przeciwnej stronie doliny Długi Grzbiet z wyniosłymi skałkami widocznymi wyraźnie na białym śniegu pokrywającym zbocze, zresztą widać tu także rosnące choinki wyglądające jak powtykane w śnieg zapałki nie możemy zrezygnować z takiego widoku. Patrząc na to wszystko wcale nie przeszkadza fakt, że w kociołku skalnym widać zamrożoną bryłę lodu.



*Schronisko Martinova bouda. Foto: Krzysztof Tęcza*

Trzeba jednak ruszać dalej. Czynię to niechętnie bo żal mi zrezygnować z takich widoków. Zwłaszcza, że są one niezmacone gwarem tłumu turystów jaki jest tu w okresie letnim. Poza tym teraz przejrzystość powietrza jest zupełnie inna. Zaraz zauważam, że śnieg pojawiający się do tej pory pojedynczymi płatami teraz zalega ciągle. Jest go coraz więcej. Podążam zatem dalej po białym kobiercu. No może nie do końca bo zaraz zaczynają się drewniane kładki a na nich śnieg utrzymuje się tylko pośrodku, za to grubą warstwą. Jest on zmrożony. Dopiero teraz trzeba naprawdę uważać by się nie poślizgnąć i nie wywinąć orła. Skutki bowiem upadku w tym miejscu byłyby tragiczne.

Jestem na Rozdrożu pod Śmielcem (1127 metrów n.p.m.). Teraz na bardzo krótkim odcinku muszę pokonać 200 metrów różnicy wzniesień. I jak wzrokiem sięgnąć wszędzie widać biel. Wszystko skryte jest pod białym śniegiem. Widać jednak, że ktoś szedł już tędy bo są wydeptane ścieżki. Oczywiście każdy próbował swojego szlaku i ścieżek jest kilka. Trzeba wybrać tą jedną, którą będę podążał. W końcu widzę to czego się obawiałem. Pojawiają się głębokie po kolana ślady w zmrożonym śniegu. Jest to bardzo niebezpieczne. Trzeba cały czas patrzeć pod nogi. Ale wreszcie jestem na Czarnej Przełęczy (1350). Pogoda wciąż dobra, słoneczna, choć wieje wiatr. Widzę jak z Czeskich Kamieni schodzi grupa ludzi. Za chwilę okazuje się, że są to narciarze. Gdy docierają do mnie słyszę język czeski. No tak oni są „niezawodni”. Praktycznie w każdą pogodę, nawet gdy nikt nie wędruje po górach, oni są zawsze. Mniej lub więcej ale zawsze można spotkać Czechów na szlaku. Jakoś ich nie przeraża nieco słabsza pogoda. Oczywiście nie mówię o sytuacji naprawdę zagrażającej życiu

człowieka. Jednak turystów z czeskiej strony Karkonoszy zawsze można spotkać na szlaku. I co ciekawe często zabierają oni w góry swoje pociechy, nawet niemowlaki. Często widać jak ciągną na nartach specjalne wózekki przeznaczone do przewożenia dzieci.

Na razie nie jest źle. Ubieram się ciepiej i idę w stronę Martinovej boudy. Robi się chłodno. Wreszcie będę miał trochę odpoczynku. Schodzę w dół. Ale o to z prawej strony wśród szczytów dostrzegam małą górkę. Po bliższym przyjrzeniu okazuje się ona być Śnieżką. Z tego miejsca nic nie wskazuje, że to jest właśnie ta najwyższa góra w Karkonoszach. Świadczy o tym jedynie zabudowa widoczna na szczycie.

Co chwilę pojawiają się grupy czeskich narciarzy. Ale ogólnie jest luz. Nawet jestem zaskoczony, że tak szybko docieram do schroniska. Zanim jednak dochodzę do polany już widzę, że czeka teraz mnie niezła wspinaczka po zboczu do ukrytej za nim doliny, w której wody Łaby spadają w przepaść. Ciekawe jak to wygląda zimą?



*Schronisko Labská bouda i wodospady Łaby. Foto: Krzysztof Tęcza*

Trochę mi zeszło zanim dotarłem do schroniska Labská bouda. Po drodze musiałem, no może nie musiałem, ale z grzeczności schodziłem na „pobocze” by ułatwić narciarzom bezpieczny przejazd. Niestety nie ułatwiało to mojego marszu gdyż ciągle albo ześlizgiwałem się w dół albo zapadałem w śnieg. W końcu jednak ujrzałem schronisko. Okazałe. Większość ludzi określa je mianem socjalistycznego wybryku natury ale przecież stare schronisko, mimo że stylowe wcale nie było dużo mniejsze. Mi jego kształt nie przeszkadza. Jestem tu na tyle często, że zdążyłem się do niego przyzwyczać.

Zanim jednak dotarłem do schroniska szedłem do pomostu widokowego przy wodospadzie Łaby. Właściwie nie wiem czy nie powinienem powiedzieć wodospadów Łaby, bo nie jest to pojedynczy spad wody. Muszę szczerze przyznać, że warto poświęcić chwilę czasu by zejść tutaj, do miejsca z którego możemy zobaczyć wody Łaby spływające z góry i spadające pod naszymi nogami w czeluść. Nawet mimo tego, że górna część potoku jest całkowicie zasypana śniegiem. Za to to co widzimy poniżej zapewnia nam niesamowite wrażenia. Najlepsze jest jednak to, że teraz trzeba wdrapać się po rozmokniętym śniegu pod górę. A przecież nie widzę tutaj żadnych śladów. Nikt jeszcze tędy przede

mną nie szedł. Jestem zatem tym, który idąc tędy zostawi ślady dla kolejnych ciekawskich turystów. Za to po dojściu do tarasu schroniska czekała mnie prawdziwa niespodzianka. Mogłem nieco się rozebrać i zażyć kąpeli słonecznej, tak bowiem było tu ciepło. Zresztą opalali się tu wszyscy przebywający. Trochę radości w górach śniegu.



*Stacja przekaźnikowa na Śnieżnych Kotłach. Foto: Krzysztof Tęcza*

Po odpoczynku ruszam w stronę źródeł Łaby. W zasadzie mam za sobą połowę drogi, teraz mogę powiedzieć, że idę w stronę domu. Śnieżka wygląda tu jak mały kopczyk. Za to pozostałe szczyty wywierają na patrzących duże wrażenie. Zmieniająca się pogoda staje się na tyle nieprzyjemna, że rezygnuję z podążania ustaloną trasą, chociaż wiem, że brakuje mi naprawdę niewiele by dojść do źródeł Łaby i skręcam w stronę Łabskiego Szczytu. Niestety czasami trzeba przeboleć i odpuścić coś, co wydaje się w zasięgu ręki, by w konsekwencji zwykłego, niczym nieuzasadnionego uporu, narazić swoje zdrowie czy życie. Pogoda wydaje się niby taka sama ale coś zaczyna się w niej zmieniać. Wyraźnie czuć mroźny coraz silniejszy wiatr. Na horyzoncie widzę Śnieżne Kotły, a właściwie budynek dawnego schroniska. Wygląda on z tej strony jak mała drewniana budka. Muszę założyć coś na siebie bo czuję jak wiatr przenika przez moje ciało. Również na usta zakładam specjalną ochronkę. Idę pod górę zimowym szlakiem zaznaczonym wysokimi tyczkami. Ciągłe mijają mnie narciarze. Jedni zjeżdżają z góry, drudzy starają się podjechać pod górę. Niektórym nawet to wychodzi. Większość jednak zdejmuje narty i podąża dalej pieszo. W zasadzie są to Czesi, tylko raz słyszałem jak mówili po polsku.

Gdy dotarłem na grzbiet ujrzałem oddalone nieco schronisko na Szrenicy. Wyglądało nawet całkiem ciekawie. Pamiętam bowiem jego widok z lata kiedy to było widać paskudny kolor elewacji. Teraz w okresie zimowym barwa ta jakby nieco osłabła i budynek wygląda znacznie lepiej.

Idę dalej pod górę. Z lewej strony widać skały na Łabskim Szczycie, takie niby nieduże a jednak. Widzę jak jeden z narciarzy próbuje na nie wjechać. Nie bardzo mu się to udaje. W końcu rezygnuje, zdejmuje narty i wdrapuje się na nie pieszo. Ja idę wciąż w stronę widocznego schroniska nad Śnieżnymi Kotłami. Jego wygląd zmienia się wraz z moim przybliżaniem się. Staje się ono coraz większe. Już nie sprawia wrażenia budki. Gdy docieram pod sam budynek mogę przyjrzeć się urządzeniom stacji nadawczej, które zamontowano tutaj. Ludzi jest coraz mniej. Krąży tylko kilka grup. Jedni robią sobie pamiątkowe zdjęcia, drudzy podziwiają widoki. Niestety, zwłaszcza narciarze, mają

za nic ustawione tu tablice ostrzegające o niebezpieczeństwie. Niektórzy z nich przejeżdżają nad przysypanymi śniegiem łańcuchami aż na nawisy śnieżne, które mogą w każdej chwili oberwać się i zsunąć na dół w przepaść. Zupełnym brakiem rozważli popisali się turyści, których dostrzegłem w dole. Początkowo nawet nie pomyślałem, że to mogą być turyści, jednak gdy przyjrzałem się im bacznie nie miałem wątpliwości. Dlaczego piszę o nich w ten sposób. Otóż po śladach w śniegu widać wyraźnie, że pozwolili oni sobie na zejście żlebem, którym co prawda wiódł kiedyś szlak turystyczny, ale było to jeszcze przed utworzeniem Karkonoskiego Parku Narodowego. Teraz, nawet latem, gdy patrzy się nań z góry widać wyraźnie jak jest to niebezpieczna trasa. Tymczasem tych kilka osób zeszło po niemal pionowej ścianie na dół i teraz torowało sobie w śniegu trasę w stronę Śnieżnych Stawków.



*Widok z Wielkiego Szyszaka. Foto: Krzysztof Tęcza*

Wiodący dalej szlak wokół Wielkiego Szyszaka jest zamknięty dla ruchu pieszego co oczywiście nie przeszkadza ludziom tam chodzić. Dziwne to, chodzi mi oczywiście o ich bezpieczeństwo, bo przecież jeśli chodzi o jakieś zniszczenia to wszystko jest przysypane warstwą śniegu więc nic się nie stanie jak przejdzie tędy kilkadziesiąt osób. Trzeba jednak mieć trochę wyobraźni i pomyśleć zanim wejdzie się na nawisy śnieżne. Na szczycie stoi pomnik cesarza Wilhelma i zapewne to jest powodem, że wszyscy chcą tu podejść. Niestety sama budowla chyli się ku upadkowi. Naprawdę niewiele już potrzeba czasu by pozostała z niej kupka gruzu. Ciekawostką jest tutaj fakt, że na mapie Wielki Szyszak ma wysokość 1509 metrów n. p. m. a pomiar Endomondo wykazuje 1555 metrów.

Schodząc ostrożnie w dół docieram w końcu na Czarną Przełęcz i w ten sposób zamykam pętlę. Teraz pozostaje mi tylko zejść Koralową Ścieżką do Jagniątkowa. I tak oto kończę niedzielny spacer mając za sobą 25 kilometrów w nogach.

Krzysztof Tęcza